№ 25.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.

REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1842. Poznań, dnia 7. Grudnia.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Cyrzyński kapitan.

Ustęp z ostatniéj wojny Hiszpańskiéj.

Zdarzenie prawdziwe.

Hiszpanie nie cierpią w wojsku własném i na urzędach cudzoziemców, często jednak napotykamy oficerów po sztabach pułków hiszpańskich. W Asturyi widziałem pułk Krystyny, w którym Francuz i Polak byli kapitanami. Francuz młody i dobrze wychowany, nazywał się Wiktor, i wszedł w służbę hiszpańską jedynie ze skłonności do niespokojnego życia. Odznaczał się odwagą i bystrym umysłym, i gdyby nie błąd jeden, który go o śmierć przyprawił, mógł być miłym w towarzystwie. Skoro się napił i rospalił, lubił rosprawiać bez rozwagi i obrażał mimo zamiaru własnych przyjaciół. Po zimnéj rozwadze, chętnie przyznawał się do swoich błędów, ale przy pierwszéj sposobności znów wracał do nich.

Cyrzyński Polak był zupełnie inny. On, osiwiały w bojach, okryty bliznami, wzrostu olbrzymiego, w obozie tak był miły i spokojny, jak w boju waleczny i niepowstrzymany. Mało zawsze mówił i przesiadywał godziny z opuszczoną na ręku głową, puszczając z fajki kłęby dymu. Uważano za rzecz osobliwszą, kiedy się odezwał, mówił zaś sześciu językami, bo u tylu uciśnionych służył narodów i walczył za ich sprawę.

Znałem w tym batalionie dwóch innych oficerów i dlatego zabawiłem dni kilka we wsi, chcąc wytchnąć z podróży, którą odbyłem w tydzień bez przerwy a podróż była trudna, koń lichy, a siodło jeszcze gorsze. Zapoznałem się z Cyrzyńskim, a chociaż wieś dla mnie żadnego nie miała powabu, przepędziłem w jego towarzystwie czas szybko i zapomniałem o dalszéj podróży. Wieczorem schodziliśmy się w większe koło, Cyrzyński, Wiktor, dwóch lub trzech hiszpańskich oficerów i ja, bawiliśmy się razem, popijając grzane wino.

Od czterech dni ściągały się w owe okolice wojska i osadziły wsie sąsiedzkie. Kilka tysięcy żołnierzy rozłożyło się pod gołem niebem. Na odległość strzału karabinowego widzieliśmy czaty dość silnego oddziału Karolistów. Oba wojska czekały na wzmocnienia i spodziewaliśmy się w pierwszych dniach walnéj bitwy.

Pewnego wieczora zasiedliśmy przy stole dębowym u Don Julijana, przed nami stało sześć rozmaitych szklanek, w środku naczynie gliniane buchało wonią grzanego wina. Cygarów paczka dopełniała garnituru wieczornego. Przedmiotem rozmów były ruchy wojska i wypadki przyszłéj bitwy. Wypróżniliśmy wino z naczynia glinianego, i drugie zastawiono, tymczasem jeden z przytomnych zwrócił w inną stronę rozmowę i opowiadał o zajściu, które przed południem się wydarzyło.

Na pięknym koniu andaluzyjskim wybiegł poza szeregi Karolistów oficer, nie przekraczając jednak łańcucha ostatnich czat swoich. Naraz koń się spina, lęka, rzuca się w bok, a wziąwszy na kieł, szybkością strzały pędzi na obóz nieprzyjacielski. Napróżno starał się wstrzymać konia w zapędzie. Zaledwie zbliżył się na kilkadziesiąt sążni od czat krystynowskich, wystrzelono, oficer spadł z konia kulą przeszyty. Koń stanął jak wryty, chrapami wąchał swego pana i zdawał się żałować swego uporu. Kilku wtenczas żołnierzy przybiegło do poległego i wykopało grub dla niego.

»A więc pogrzebali bez ceremonii,« rzekł hiszpański oficer, przyjaciel Wiktora, »bo wykopali jeno dół na dwie stopy głęboki i złożyli w nim trupa jak w pościeli, zostawiając go w koszuli.«

»Zbyt wiele dla niego grzeczności,« rzekł Wiktor, »u nas tak trudno o bieliznę, a tam trupowi nie odbierają koszuli. Prawdziwą byłoby to zasługą, odkopać go i odebrać mu koszulę.«

»Niech cię Bóg broni,« rzekł Cyrzyński; »któż widział naruszać spokojność umarłych! Jest to rzecz niegodna i przynosi nadto nieszczęście.

»W rzeczy saméj?« ozwał się Francuz, ze zwykłą namiętnością; ja sam pójdę po tę koszulę, a co większa, wezmę ją na siebie przy pierwszém spotkaniu z Karolistami.«

Cyrzyński kiwał tylko głową i nic nie mówił. Młody Francuz napełnił szklankę winem i spełnił od razu.

»Pójdź ze mną,« rzekł do swego przyjaciela Don Ludwika, »twojéj potrzebuję pomocy, inaczéj długobym musiał pracować.«

Młody Hispan ociągał się z razu, nie podobało mu się przedsiewzięcie, ale że nawykł we wszystkich wyprawach jemu towarzyszyć, opuścił nas i poszedł za Wiktorem. Wołaliśmy za nimi, oni jakby zagłuchli, tym bardziéj śpieszyli do miejsca, gdzie świeżo trupa pochowano. Sądziliśmy przecie, że żartu tego nie wypełni Wiktor i że skręciwszy na bok, gdzie u przyjaciela się prześpi. Cyrzyński się żżymał i gniewał, bo dzielił to przekonanie, że rzeczą jest niegodną, odzierać ludzi choć poległych w boju, a oprócz tego, był pewnym, że odzierający przy pierwszém spotkaniu się z nieprzyjacielem zginąć musi.

Nie upłynęło godziny, usłyszeliśmy mocne pukanie do drzwi. Niebawem wbiegł Wiktor z przyjacielem i śmiał się na głos i z takim przyciskiem, iż zdawał się do śmiechu przymuszać.

Byliśmy dosyć szczęśliwi, rzekł, chociaż nastawiliśmy naszą skurę na strzały czat naszych, bo one nas wzięły za Karolistów. Co mówisz teraz o nas, dodał, wyciągając z pod pachy zawinięcie i kładąc je przed Cyrzyńskim; czy przyjmiesz ten podarunek?

Cyrzyński rostworzył zawinięcie i spostrzegł koszulę piękną, skrwawioną.

Złe to są żarty, rzekł do Wiktora.

Wiktor rozochocony winem i świeżem powietrzem wypił jeszcze szklennice, na poskromienie jak mówił wilgotnego powietrza, potém ozwał się tonem dosyć surowym.

Znajdujesz wszystko złém, co tylko robię. Czy mnie uważasz za dziecko które zawsze na szelkach prowadzić potrzeba, któremu zawsze prawić będziesz morały?

Mam po sobie słuszność i mógłbym ci nie jedną powiedzieć prawdę: ale wolę zamilczeć, rzekł Polak z zimną i spokojną krwią.

»Do prawdy?« odrzekł młody Francuz.

Mówmy lepiéj o czem innem, rzekł Cyrzyński.

A więc chciałeś zapewne powiedzieć, że nie jestem godzien słuchać rad twoich mądrych, i nauk rostropnych, zapewne to chciałeś powiedzieć.

Zamiast odpowiedzi, wziął Cyrzyński lulkę ze stołu i dotknął nią ust swoich. Rysy jego wcale się nie zmieniły, tylko obłok dymu, który z ust swoich wypuszczał, dowodził, że jego spokojność tylko pozorną była.

»Proszę mi odpowiedzieć zaczął Wiktor na nowo nastawać, — bo to ubodło go, — »proszę mi odpowiedzieć powtórzył, albo uważać się będę za obrażonego, a wtenczas ....

Młody Francuz trzymał w ówczas szklankę w ręku i czyto z prędkości, czy z uniesienia, oblał twarz Cyrzyńskiego winem.

Cyrzyński powstał ze swego miejsca, otarł z jak najzimniejszą krwią wino, które ściekało po twarzy ogorzałéj od słońca i po długich zawiesistych wąsach. Nigdy nie widziałem człowieka z piękniejszym i spokojniejszym wyrazem twarzy.

»Mój przyjacielu,« rzekł do Wiktora po francuzku, »postąpiłeś sobie dziecinnie, obrażając bez powodu człowieka, który był już żołnierzem i bił się za ojczyznę, kiedyś ty jeszcze leżał w pieluchach. Mam ślady głębokie od ran dziewięciu, które w bojach otrzymałem, nie możesz mnie o tchórzostwo posądzać, powiedz więc że żałujesz tego, coś uczynił, na tém przestanę. Nie hańbi człowieka, wyznanie swoich błędów, z resztą jesteśmy tu wszyscy przyjaciołmi i zamilczymy o wszystkiém w twoim własnym interesie.

Młody Francuz zdawał się chwilę walczyć ze sobą. Szkoda że go upór właściwy pijanym opanował i czartoska pycha wzięła nad nim górę.

Nie wątpię, odrzekł, że jesteś gotów przyjąć przeproszenie, ale ja bynajmniéj o tém nie myślę.

Po tych słowach obrócił się na korku buta i wyszedł z pokoju. Nieszczęśliwe to zajście było i dla nas znakiem do rozejścia się. Wszyscy wróciliśmy do domu, a Cyrzyński został z Don Julianem.

Nazajutrz ze świtem stały wojska w szyku bojowym, chcąc przywitać Karolistów, skoroby się ze stanowisk wychylili. Lecz że nieprzyjaciel nie miał ochoty do rozpoczęcia bitwy, rozeszły się wojska na swoje leże, kilka postawszy godzin pod bronią. Właśnie stałem u okna w domu zajezdnym, kiedy Cyrzyński z Don Julianem przyszli. Ostatni otulił się w swój płaszcz szeroki i zdawał się być dosyć zakłopotanym. Skoro mnie postrzegł, skinął na mnie.

Rzecz smutna, kiedy takie między przyjaciołmi zachodzą sprawy, i rozwinął przytém płaszcz, pod którym trzymał parę pistoletów. Wiktor nie chce przeprosić, nie masz innéj drogi, jak pojedynek. Wiesz dobrze o surowem prawie wojenném względem pojedynków, a do tego jeszcze w obliczu nieprzyjaciela, pachnie to kulką w łeb. Proszę cię pójdź z nami. Jesteś cudzoziemcem, grzeczność ową przeto nieopłacisz żadnym przypadkiem, a twoje świadectwo na wiele się nam przyda, skoro rzecz wytoczy się przed sąd wojenny.«

Przybyliśmy na miejsce wyznaczone. Było tam małe pole kukurydzą zasiane, równo oddalone od dwóch czat krystynowskich, w dolinie otoczonéj zewsząd drzewami. Chociaż za blisko byliśmy od naszych widet, trudno było znaleść dogodniejszego miejsca. Ku armii Karolistów pochylała się powierzchnia ziemi na kilkadziesiąt sążni, daléj się wznosiła do równéj wysokości z nieprzyjacielską.

Wiktor i jego sekundant, ów Ludwik, towarzysz nocnéj wyprawy, stanęli z nami równocześnie na miejscu. Don Julian napróżno starał się strony pogodzić, i dla tego wymierzono piętnaście kroków i przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. W chwili, kiedy sekundanci podali pistolety, posłyszeliśmy dość częste strzały karabinowe nie daleko od nas. Wszedłem na wzgórze, które nas przedzielało od czat krystynowskich i postrzegłem szare mundury i niebieskie czapki tiralierów karolistowskich, którzy z naszemi się ucierali. Julian miał znak dać do wystrzału, ale się cokolwiek ociągał. Coś było szczególnego odbyć pojedynek, pośród kul nieprzyjacielskich.

Naprzód! zawołał Wiktor, — w jednéj chwili rzecz się zakończy.

Raz! Dwa! zawołał Julian.

Kula młodego Francuza przeszyła czapkę Cyrzyńskiego, pistolet zaś ostatniego nie puścił.

W téj saméj chwili potoczył się Wiktor i padł na ziemię. Oba sekundanci i Cyrzyński pobiegli do niego, ja za nimi i ujrzeliśmy nieszczęśliwego krwią własną zbroczonego. Kula Karolistów trafiła go w głowę. Ostatnie słowa, które przemówił były: »w jednéj chwili to się zakończy,« — jakoż w rzeczy saméj w kilka minut potém już nie żył.

Enriquez.

Drugi ustęp z ostatniéj wojny hiszpańskiéj
przez
naocznego świadka.

W okolicy górzystéj wschodniéj Nawary, niedaleko granicy aragońskiéj, był zamek osadzony na początku wojny Karolistami. Na szczycie góry zawieszony, wydawał się więcéj podobnym do gniazda, aniżeli do zamku obronnego. Budynki i szańce nie były mocno zbudowane i łatwo dały się zdobyć zapomocą kilku drabin, którychby kilka kompanii użyło do szturmu. Ale ważność miejsca nie tyle obchodziła Krystynów, ażeby niém się mieli zatrudnić i dla tego żołnierze Don Karlosa długo pozostali w posiadaniu tego zamku.

Nie więcéj w nim było nad dwudziestu żołnierzy, którzy od czasu do czasu wychodzili na wsie okoliczne, zaopatrując się w żywność i inne potrzeby. Uchodziło to im długo bezkarnie i dla tego nabrali śmiałości i zabierali ze sobą ze wsi nie tylko żywność, ale i droższe sprzęty i klejnoty. Między osobami, które przez nich zostały ogołocone z dobytku znajdował się na ich nieszczęście przyjaciel sławnego dowódzcy guerylasów Enriqueza, który w Nawarze i Aragonii odznaczał się odwagą i okrucieństwem.

W kilka dni po ostatniéj wycieczce, spostrzegli żołnierze Don Karlosa w zmierzchu rannym zbliżające się cztéry ciężko obładowane muły na drodze, prowadzącéj mimo ich skały, przy których tylko czterech znajdowało się przewodników. W okamgnieniu spuszczono drabiny, z dwudziestu zostało tylko pięciu w zamku, reszta udała się ku mułom. Przewodnicy zatrzymali się, dobyli z pod płaszczy karabinów i wymierzyli na nacierających. W téj saméj chwili wybiega z zarośli Enriquez z kompanią piechoty i rotowym ogniem kładzie ośmiu Karolistów trupem. Siedmiu pozostałych ucieka ku skale. Ścigani i ścigający walczyli z zaciętością, Karoliści zaś wyprzedzili ich znacznie, parci przewagą i przestrastrachem. Krystyniści zbliżyli się na sto sążni do skały, Enriquez zawołał na swoich — »stać! ognia!« i trzech Karolistów znajdujących się na drabinie spadło. Z czterech pozostałych był jeden ciężko ranny, i nie mógł zdążyć za drugimi, pochwycił więc drabinę, którą wszyscy ocaleni śpieszyli wciągnąć z rannym do góry. Zaledwie od ziemi ją podnieśli, kiedy Enriquez przypadł, pochwycił siłą olbrzymią za ostatni szczebel. Karoliści usiłowali mu wydrzeć drabinę i z nią podniesli w górę dowódzcę guerylasów, który wołał dać się wciągnąć do zamku, aniżeli niedokazać swego. Na szczęście przybiegli jego żołnierze w pomoc, pochwycili go i z nim ściągnęli po drugi raz drabinę. W pięć minut późniéj zdobyli Krystyniści ów zamek.

W sąsiedzkiém mieście znalazłem kilku znajomych Hiszpanów, którzy w towarzystwie Enriqueza chcieli zwiedzić ten gołębnik obwarowany. Skała, na którym stał zamek, tworzyła wązką płaszczyznę i podnosiła się ze wszystkich stron prostopadle na 50 stóp wysoko. W środku znajdował się otwór, nakształt studni, kratą żelazną pokryty. Skała była z twardego granitu, sądziłem przeto że wiele pracy kosztowało wykucie téj studni, za nim znaleziono dosyć wody dla załogi.

»Studni z wodą!« zawołał Enriquez — piękna tam woda.«

Obrócił się potém do żołnierza i rozkazał przynieść latarnią. Spuszczono ją potém w otwór na linie. Enriquez kazał nam spojrzeć na dno, i widzieliśmy w ciemnościach głębi przedmiot jakiś poruszający się, lecz nie mogliśmy go rozróżnić. Światło nareszcie równiéj palić się zaczęło, i rozpoznaliśmy bladą wychudłą twarz człowieka. Nie mogliśmy się wstrzymać od zadziwienia i pojrzeliśmy wszyscy na dowódzcę guerylasów.

Enriquez skinął na żołnierza, aby linę odniósł. Za światłem niknącem pojrzał ten nieszczęśliwy żywo pogrzebiony, ale na widok dowodzcy przybrała twarz jego wyraz rozpaczy, któraby najtwardszy kamień była poruszyła. Do wymówienia słów kilku był za słaby, ale jak mnie się zdaje doslyszałem okropny jęk w téj chwili, kiedy żołnierz dobył światło na wierzch otworu.

»Dobrze ci,« rzekł Enriquez, »nie będziesz drugi raz uciekał.«

Nieszczęśliwy był dawniéj żołnierzem w oddziale tego dowózdcy, który go obsypywał łaskami i za nie, chciał się takim sposobem wywdzięczyć, iż się ugodził z wysłańcami Karolistów o wydanie swego dobrodzieja. Kiedy zdrada odkrytą została, winowajca przeszedł do Karolistów. W dwa miesiące późniéj, w bitwie jednéj dostał się do niewoli i Enriquez rozkazał go spuścić w tę otchłań ciemną, dając tyle jeno wody i chleba, aby z głodu nie umarł. Zapytaliśmy dla czego nie kazał go raczéj roztrzelać, aniżeli się pastwić w tak okrutny sposób:

»Jego rostrzelać? Nie, nie, taka śmierć jest dla walecznych. Niech tam zgnije, gdzie go osadziłem.«

Zdaje się niepodobna, aby w dziewiętnastym wieku, w narodzie ucywilizowanym można się dopuszczać takich okrucieństw. Nie długo potém, na

pociechę ludzkości, dowiedziałem się, że władze zażądały wydania nieszczęśliwego, i że Enriquez wyrzec się musiał swéj zemsty, oddając go pod sąd właściwy.

Kobieta w Ameryce.

Miss Martineau autorka wybornego dzieła o stanie towarzyskim w zjednoczonych stanach Ameryki (które wyszło w tłomaczeniu francuzkiem przez pana La Roche w trzech tomach), zapatrując się naocznie przez dłuższy pobyt w tym kraju, na wszystkie stósunki życia republikańskiego i kupieckiego, piórem, talentu pełném, opisała je w zwyż pomienionem dziele. Z niego to postanowiliśmy dać obraz wolnéj Amerykanki, boć tam podobno emancypacya niewiawiasty, pod prawami równości społecznéj, najwyżéj stanąć była powinna.

Wszakże, jakże nas uderza zaraz piérwsze zdanie autorki, która przez dwa tomy z takiem uniesieniem mówiła o instytucyach towarzyskich Ameryki; że pod względem kobiet, i obchodzenia się z niemi, Amerykanie, nie tylko zaparli się swoich demokratycznych zasad ale nawet niżéj stanęli od innych narodów starożytności. A ponieważ zrobiła takie na wstępie założenie: że miarę oświecenia każdego narodu, dają stósunki w jakich zostaje niewiasta do mężczyzn rozciągających nad niemi władzę prawem mocniejszego; — więc ztąd naturalny wyprowadziła wniosek, że mimo wszystkich zalet rzeczypospolitych amerykańskich, nie wiele tuszyć można o ich rzeczywistéj cywilizacyi.

Z innych względów zgodzilibyśmy się z takiem orzeczeniem szanownéj autorki, boć utrzymywanie niewoli negrów, zagnieżdżona arystokracya pieniężna, nie mówią zapewne o istotném oświeceniu narodu, który zdaje się że całą swoją oświatę, w zysk obraca, atoli w przytoczoném przez nią zdaniu, widzimy wyrok kobiety, która snać o to markotna, że w jéj drobne rączęta, miecza nie złożono, ku czemu potrzeba sił muskularnych męża. Przyznaje sama że nie ma kraju, gdzieby większy dla kobiety znano i okazywano szacunek? Atoli w gorliwym zapale za prawa płci swojéj, wyrzuca Amerykanom: »Kiedyście przygnietli umysł kobiety, jéj moralność podkopali, zniwczyli jéj zdrowie, schlebiacie jéj słabościom, a tamujecie i ukrócacie jéj siły — rozumiecież te kajdany pokryć kwiatkami grzeczności, istotną niewolę zastąpić owém otrębywanému szanowaniem dla kobiet? — I na czemże to, ta jéj sławione przywileje polegają? Oto siadając do powozu, ustępują jéj mężczyzni pierwszego miejsca. W posiedzeniach publicznych, gdy nie ma dosyć krzeseł, ustępują ich dla dam, a sami podejmują fatygę stać za krzesłami. W mowach pełno deklamacyi i uwielbienia dla kobiet, mężowie ileżto nie podejmują zabiegów, aby żonom starczyć pieniędzy, chowają je jak ptaszki w klatce, dając im wszelkie wygody, a na samą myśl aby pracować miały, stawałyby im włosy na głowie. Pozwalają im być bigotkami, aby ich umysły nie zajmowały się czem innem. Szanują tak ściśle ich wstydliwość, że w przytomności damy najmniejszéj nie popełniają nieprzyzwoitości. — Oto kobieta Amerykańska, bogini uwielbiona na pozór, a w rzeczy saméj niewolnica tylko, przemocy mężów oddana.«

Nie widzimy aby było inaczéj w innych krajach oświeconéj Europy, i tu podobno ten sam trafia zarzut mężów. Wiedziała o tém Miss Martineau, i dla tego z Anglii, pojechała do nowego świata, ażeby tam w kraju saméj wolności, wolną wyzwoloną kobietę obaczyć. I dla tego takie jéj oburzenie, że znalazła stan kobiety podobny, jak w własnéj ojczyznie. Gdy ją tak oczekiwania ominęły, musiała nawet położenie Amerykanki w gorszém jeszcze obaczyć świetle. »Biedne ofiary! — powiada, — rzucają się na śluby małżeńskie, jako na jedyne szczęście swoje, bo ich tak nauczano w ciągu wychowania, że małżeństwo jedynym, ostatecznym celem ich życia, że na nic więcéj nie są stworzone, jak na to, aby zostać żoną mężczyzny! Biada jéj gdyby jéj się o innem zamarzyło przeznaczeniu!« — Jakież to kobiety wychowanie! — Jak wszędzie, gdzie despotyzm mężów panuje — Wydzielają im z nauk to, co każdy człowiek w końcu umieć powinien, aby czytaniem książki umiała sobie na przyszłość czas zapełnić, aby umiała się znaleść w towarzystwie, aby potrafiła kiedyś uprzyjemnić mężowi konwersacyą, i dzieciom dać piérwsze wychowanie. Ale i tego uczą ich pamięciowo tylko i mechanicznie, nie rozwijają ich sił umysłowych, wstrzymują je i owszem, gdzieby same występowały za szczupły obręb nauk im zakreślonych. Broń boże sięgnąć kobiecie do filozofii, wyśmieją ją i wyszydzą; wiadomościami i literaturą może się trudnić, byle ku zabawie, — w sztukach pięknych nareszcie otwarte ma dla siebie pole. Atoli gdzież szkoły, gdzieby ją jak mężczyzn kształcono na artystkę, świat rzeczywistości, okrutni, przed nią zamknęli, pogwałcili względem niéj prawa natury, i chcą po niéj ideałów!

Zapewne, że wychowanie kobiet we wszystkich niemal krajach na niskim bardzo stoi stopniu, że plan nauk obrachowany jedynie na niezbędne potrzeby a zupełnie zaniedbano rozległego rozwinięcia umysłu kobiecego, i jak gdyby z umysłu zakopano talenta

drugiéj połowy narodu. Wszakże i na to zważyć szanowna autorka powinna, że zostać matką rodu ludzkiego, jest wielkiem przeznaczeniem niewiasty, ku któremu jedynie wychowanie skierowane być powinno; że kiedy natura sama stworzyła niewiastę słabszą od męża, toć i siły jéj ducha, nie mogą być te same, co siły duchowe męża, a więc i wychowanie kobiece, innego musi być zakroju.

Miss Martineau uważa w tém największą demoralizacyą że nie tylko zatrudnienia podzielono na męskie i żeńskie, ale nawet cnoty uszlachetniające postępowanie człowieka. Cnoty domowe zostawiono kobiecie, cnoty towarzyskie mężom. Dziwi się autorka, jak naród wolny i chrześciański mógł tak błędne upowszechnić zdanie. »Gdy Chrystus jest punktem środkowym cnót wszelakich, gdy ewangelia wszystkiemu narodowi była opowiadana, możeż tam być podział jaki na cnoty mężczyzn i niewiast? Mówią, że cnoty męskie potrzebują więcéj mocy duszy i charakteru, cnoty niewieście więcéj łagodnych przymiotów serca. Atoli może być cnota bez charakteru, alboli bez uczuć serca? — Odwaga i męstwo, wspaniałomyślność i wolność duszy, owe sławione cnoty mężów, mogąż się ostać bez przymiotów serca bez krasy łagodności, nie miałyżby wyrazu odrażającego? — Zkądże mężczyznom brać odwagę w wyłączną dla siebie posessyą, gdy jéj niewiasta co dzień potrzebuje, wystawiona na cierpienia fizyczne i moralne, których tamci całkiem nie znają? Obdarzona większym czuciem, wymaga większéj siły odpierającéj natarczywość cierpień, a tę siłę daje odwaga. Niedoświadczona z woli mężów, nieumiejętna, nieuzbrojona w moc duszy, gdzie stąpi, tam się grunt pod stopami chwieje, przepaść się przed nią rozwiera. Nie jestże i kobieta człowiekiem, nie ciążyż i na niéj brzemie Adamowe, i nie musiż, jak inni znosić ciężar człowieczeństwa, i jestże to litość, obierać ją ze środków, ku wytrzymaniu walki, która ją czeka?

Oburzyło autorkę to najwięcéj, że kiedy toczyła się kwestya na kongressie amerykańskim o zniesienie niewoli negrów i podczas powstania w Bostonie poimany został przez lud Garison największy zapaśnik abolicyi ujarzmienia czarnych, kobiety w znacznéj liczbie wzięły stronę wolności i lukzkości, utworzyły między sobą assocyacye, i zdobyły dla siebie prawo wolnego rozprawiania w sprawach ogólnego dobra. Sprawiło to krzyk niesłychany w świecie męskim, poprzybijano afisze po rogach, w których władze oskarżały owe niewiasty, że pogwałciły prawa przystojności i ubliżyły skromności płci swojéj. Dziennikarze co dawniéj uwielbiali piękne cele niewiast ilekroć się łączyły z sobą, aby przynieść ulgę ubóstwu, lub założyć towarzystwo jakie dobroczynne, tu, gdzie chodziło o daleko rozleglejszy interes ludzkości, wmieszanie się kobiet, ogłaszali za bezwstydne i najohydniejsze do tego poddawali pobudki. Na wszystkie abolucyonistki (tak nazywano partyzantki Garisona) rzucono potwarze, potępiono je w opinii publicznéj. Autorka, któréj darowano wreszcie iż się poważyła pisać dzieła, i już poczęto uwielbiać jéj talenta, narażoną odtąd została na paszkwile. Inna będąca naczelniczką instytutu panien, utraciła wszystkie pensyonarki — »Widzisz tu na jasni, płci moja żeńska, — odzywa się oburzona za takie postępowanie Miss Martineau — jaką to skromność w tobie uwielbiają mężczyzni, oto abyś tam gwałt sercu i sumieniu twojemu zadowała, gdzie obstając za dobrą sprawą, ich praw a raczéj nadużyć naruszyćby trzeba. Ale ty potępiaj tę skromność, gdy na ciebie woła głos sumienia, głos uciśnionéj ludzkości! — Naraź się raczéj na prześladowanie i męczeństwo!«

Niegdyś w Rzymie źle uważano, gdy kobiety szły na męczeństwo za wiarę, a dziś cześć ludu odbierają. Zle uważano i te heroinie których miłość ojczyzny zowiodła do obozu, i wtrąciła krwawe żelazo w rękę nadobną, a dziś słyną szacunkiem u potomnych; podobnie pamięć i abolucyonistek w Bostonie, jeżeli takie ich było prześladowanie, za poświęcenie się w dobréj sprawie, doczeka się poszanowanie. Są to wszakże wyjątki, które prawidła nie stanowią, a szanowna autorka odwołując się do fundatora religii chrześciańskiéj, nie pomniała na to, że i Chrystus do dzieła zbawienia mężczyzn samych, nie kobiety powołał.

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Pewien podróżny natrafił w pobliżu Angory dwóch ludzi, których los dotknął szczególniejszy. Piérwszym był Polak, służył pod Napoleonem w wyprawie 1812. roku, w przeprawie pod Berezyną dostał się do niewoli ryssyiskiéj. Na Syberyi żył czas niejaki, późniéj wcielony do pułku rossyjskiego, odbył kampanią nad Kaukazem z Czerkiesami. Z tąd zemknął, wpadł w ręce rozbójników, kilkakroć przedawany, dostał się do pewnego Turka, który go po dwu latach puścił na wolność. Drugi, był to pustelnik armeński. Dawniéj słynął jako najbogatszy armeński bankier w Konstantynopolu i był przełożony nad mennicą sułtańską. Mimo bogactw zubożał w końcu, odznaczając się cały czas swą dobrocią i

hojnością, z tąd w zupełne popadł ubóstwo, opuścił stolicę i w bliskości Angory osiadł, trudniąc się uprawą maleńkiego ogrodu, który nabył. Żył tam zupełnie jak pustelnik i przybywał jedynie na targ do miasta, aby płon swego ogrodu przedawać.

Kobiety w Sewilli sprawdzają w rzeczy saméj sławę, która głosi ich piękność. Prawie wszystkie są do siebie podobne, a oczy ich wielkie ocienione brunatnemi długiemi rzęsami nadają im niewidziany indziéj urok. Kiedy w Sewilli kobieta przechodzi obok męszczyzny, spuszcza oczy z wolna na dół, nagle je otwiera, rzuca wzrok na przechodzącego, któremu nikt oprzeć się nie zdoła i znów spuszcza powieki. Nie mamy na tę grę oczu żadnego nazwiska, ale mają je Hiszpanie i nazywają ojear. Nie ukrywają przecie żadnego znaczenia te nagle zarzące ogniem oczy, niepokoją jednak cudzoziemca, lubo na wszystkie przedmioty tym samym spoglądają sposobem. Zęby mają nadzwyczaj białe i ostre, ztąd zbliżają się podobieństwem w uśmiechu, równie pozorem dzikości i oryginalności, do Arabek. Czoło u nich wysokie i gładkie, nos cienki i orli, twarz rumiana, ramiona nie dosyć u nich zaokrąglone, owszem może za chude, nie mogą zaspokoić wyobrażeń o piękności sztukmistrza. W przysłowie zaś weszły maleńki nogi i ręce. Nie przesadzamy mówiąc, że dziecko pochwyciłoby całą nogę Sewilianki dłonią. Wiedzą też o téj im właściwéj piękności, ich trzewiki zazwyczaj atłasowe; zachodząc tylko na palce nie mają wcale napientek, tylko wstążkę w kolorze pończochy. U nas siedmioletnie dziewcze mogłoby obuć trzewik dwudziestoletniéj Andaluzianki. Szkoda że kobiety sewilskie głową i nogą tylko przypominają dawne hiszpanki, to jest trzewikami i mantylami, bo teraz po największéj części noszą suknie kolorowe krojem Francuzkim. Męszczyzni noszą także ubióry podług najnowszych żurnali paryskich i mało widzieć się daje w ubiorach narodowych.

Fatalną odgrywa rolę liczba 44. W pewném mieście pewien rektor gymnazyum, oddalając uczniów, wyrzekł z całą namiętnością, że chętnie cztérdziestu wypędzi uczniów, byle mu się czterech czystych w jego rozumieniu pozostało. Zapomina zapewne że przy tém przetrzebianiu i wyrywaniu kąkolu, jak uczniów fałszywie nazywa, środków używa gwałtownych, — nie ojca, przewodnika i nauczyciela, który powinien umieć prowadzić serca młodzieży drogą łagodności i przekonania, jaką Chrystus zaleca. Serce młodzieńca nie jest to kąkol, który rólnik wyrywa, nie mając z niego pożytku, jest ono najurodzajniejszą niwą, którą tylko nauczyciel umieć powinien zasiewać czystem ziarnem. Ale cóż po rólniku, co siać nie umie, a chce tylko ziarna zbierać? Czegoż nie dokaże namiętność i żółć w człowieku? — Zapomni on, iż został powołany do posługi publicznéj, do wyręczenia rodziców, i uważa wszystko za stworzone dla swojéj wygody, a nie rozwięzuje z swém wnętrzu żółciowém, owego zagadnienia Krasickiego:

czy nos dla tabakiery, czy tabakiera dla nosa?

Miłość i zbrodnia. Oficer z gwardyi Ludwika 15., nazwiskiem Esparville, jechał konno z Gap do Grenoblu, w zamiarze odwiedzenia tam swego przyjaciela. W drodze zgubił koń dwie podkowy i dla tego Esparville szukał dla siebie schronienia. Wieśniak powiedział mu, iż w bliskości znajduje się pałac należący do braci Beaubours, z których jeden był jego przyjacielem. Dla tego bez namysłu udał się tam dotąd. Dozorca zamku przyjął go uprzejmie, mówiąc, że starszy odjechał do Paryżu, a młodszy umarł przed dwoma miesiącami. Esparville zmartwił się śmiercią przyjaciela i prosił aby mu przeznaczono pokój do przespania się i stajnię dla konia. Dozorca wskazał mu pokój, o którym mówiono że w nim pokutuje.

Esparville nie ulákł się bynajmniéj, przejrzał ściany i sprzęty pokoju i już zabierał się do spoczynku, kiedy nagle usłyszał lekkie kołatanie za ścianą. Duch nie czekał nawet na zwykłą północną dobę i straszyć zaczął już wcześniéj. Esparville przysłuchiwał się czas niejaki, zbliżył się do muru, podniósł obicie i ujrzał za nią drzwi żelazne zamknięte. Bez tracenia czasu, rygiel u drzwi odciągnął i otworzył zamczysko. W tém wpada nagle jakieś wychudłe, na pół nagie stworzenie do pokoju. Był to młody Beaubours, który natychmiast poznał przyjaciela, i wołał na niego: ratuj mnie!

Esparville w krótce przyszedł z zadziwienia do siebie i słuchał nieszczęśliwego więźnia, który mu powiadał, że przed trzema miesiącami starał się w Paryżu o rękę panny Lussan, i od niéj otrzymał przyrzeczenie wzajemniżj miłości. Ale na nieszczęście znalazłem w mym bracie współzawodnika. Mimo to ojciec panny przyrzekł mi ją za żonę. Brat mój rozgniewany szepnął ojcu do ucha, że żałować będzie swéj córki, bo ja mam cierpieć napady szaleństwa. W kilka dni potém napadło na mnie czterech ludzi wieczorem, związali i odwieźli w powozie do zamku naszego, gdzie mnie w podziemiu ukryli, przeznaczając mnie na ogłodzenie. Nie straciłem jednak odwagi i znalazłem gwóźdź, którym wydłubałem ołów, na który zawiasy były wpuszczone. Otworzyłem drzwi i dostałem się na te schody. Od kilku dni

pracowałem nad otworem w murze zamku, aby się na świat wydostać.

Esparville wyprowadził potajemnie przyjaciela z pałacu i wrócił z nim do Paryża. Pierwsze kroki zwrócił do pana Lussan i tam się od odźwiernego dowiedział, że brat jego nazajutrz żeni się z panną domu, a w kilku godzinach podpisze akt ślubny. Wraca do przyjaciela, ubierają się uroczyście i ruszają do p. Lussan. Esparville nasamprzód wszedł do pokoju, zbliżył się do narzeczonéj, która smutna siedziała i rzekł do niéj: przychodzę otrzeć łzy pani, wrócę jéj tego, którego kochasz. Mój przyjaciel Beaubours nie umarł, żyje i kocha panię.

W téj chwili wbiega młodszy Beaubours, a narzeczona rzuca się jemu w objęcia. Opowiedział okropny swój przypadek, wkrótce spisano akt ślubny i kilka tylko słów w nim zmieniono. Radość była niewypowiedziana. Nazajutrz wyjechali na wieś pana Lussan i tam ślub wzięli.

Ale na tém nie koniec. Esparvilla wyzwał na pojedynek starszy Beaubours i ten go przyjął. Niebo poszczęściło mu, Beaubours zginął. Esparville był zmuszony uciekać z Francyi i żył długo zagranicą, aż za pozwoleniem Ludwika 16. wrócił do swéj ojczyzny.

MODY. — Paryż, d. 27. Listopada 1842.

Ubiór na rano. Szlafroczek z popielato-perłowéj popeliny, podszyty atłasem blado-różowym, z wyłogami różowemi u rękawów i powłoki. Otwarty stanik, z pod któréj widać tak zwaną guimp (fartuszek na piersiach zakonnic) z batystu fałdowanego. Czepek muślinowy orzucony koronkami i paliowemi wstążkami. Rękawiczki z czarnego aksamitu.

Negliż na wyjście. Suknia merynosowa z paskami fijołkowemi na tle brunatnym. Płaszcz z czarnéj lewantyny bez żadnéj ozdoby. Kapotka z perskiego atłasu. Bóciki z czarnego kaszemiru.

Strojniejszy ubiór na wyjście. Suknia atłasowa z tłem zielonem i w palmy przerabiana czarne i pomarańczowe. Kamel z czarnego aksamitu, sznurami oszyty. Kapelusz aksamitny z długim marabutem. Paliowe rękawiczki. Zarękawek z kun, białym atłasem podszyty. Chustka do nosa koronkami oszyta.

Ubiór na wieczor mniéj zdobny. Szlafroczek z mory paliowéj, z dwoma paskami futrzanemi na powłoce, z których jeden otacza stanik w kształt fartuszka. Równy garnitur u rękawów. Czepek z angielskich koronek, ozdobiony kameliami czerwonemi i białemi. Białe rękawiczki.

Strój na wieczorne towarzystwo. Suknia z tulu fantazyjnego z trzema powłokami, z których każda na boku małą girlandą róż jest ujęta. Stanik zmarszczany i krótkie rękawy. Strój włosów stanowi girlanda róż. Bukiet i wachlarz.

Strój głowy. Przedział włosów nie tak wysoko zachodzi jak dotąd. Loki zawsze są jeszcze długie. Boki gładko uczesują lub cokolwiek ubufkowane, z lokiem zachodzącym za ucho. Włosy z tyłu głowy tak uczesują, że służą do ozdoby twarzy, a to w ten sposób, iż je nie wiążą we warkocz, lecz owijają w kształt hełmu. Hełm zdobi środek głowy i umacnia się w bliskości twarzy. Co się tycze kwiatów, które téj zimy nosić będą w towarzystwach, zdaje się że girlandy białych róż z diamentami, bez liścia, na pierwszeństwo zasłużą. Niemniéj podobać się będą kwiaty z gazy lub krepy z liściem aksamitném, girlandy czerwonych winogron i t. d. Mówią także o strojach głowy z koronek jedwabnych, złotolitych i o turbanach z tulu i haftu złotego. Poważniejszym strojem będą kapelusiki z małym obwodem w rozmaitym kształcie, z aksamitu i piórami zdobny, stroje à la Pompadour z różami, otwarte stroje z czarnych koronek i kolorowych kwiatów.

Objaśnienie ryciny.

1. Krótki surdut w jaśnym kolorze, z czarnym aksamitnym kołnierzem, na dwa rzędy guziki.
2. Surdut z rękawami wązko zakończonemi, na dwa rzędy guziki. Pantalony w kratkę.
3. Kapotka z barbkami koronkowemi i wysokim strojem piór i wstążek, pod obwodem kwiaty bez liścia. Suknia z mieniącéj tkaniny. Rękawy obcisłe. Mankietki ku ręce opadające. Krótki płaszczyk aksamitny, podszyty białym jedwabiem.
4. Kapelusz jak u 3. Suknia z szeroką powłoką, zdobna pasamonami. Mantelet gronostajowy z kołnierzem i otworami do rąk. Zarękawek gronostajowy.
5. Kapotka aksamitna, z odstającemi barbami, suto piórami i czarną koronką ozdobiona. Pod obwodem czepek kwiatami zdobny. Suknia w pasy mieniące. Krótki płaszcz z kołnierzem. Chustka od nosa suto haftowana.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*


A. Brückner sc.